

Wstęp

W czasach, kiedy szczytem marzeń podróżniczych przeciętnego Polaka były wczasy w Bułgarii czy Jugosławii, w czasach, kiedy o Internecie nikomu się nie śniło, mnie zaczęła się marzyć podróż na antypody. Nęciły ziemie Aborygenów i Maorysów.

Mijały lata, poznawałam kolejne kraje Europy, biura podróży woziły już swoich klientów na drugą półkulę, tylko mnie jakoś nie po drodze było do Australii i Nowej Zelandii.

Z czasem wyrosłam z podróży zorganizowanych. Opieka pilotów zaczęła mi doskwierać, zaczęłam jeździć na własną rękę. Oglądałam to, co chciałam, spędzałam czas tak, jak chciałam, a nie tak, jak chciał pan pilot, w dodatku niekoniecznie zgodnie z tym, za co zapłaciłam. Już wiedziałam, że te wymarzone kraje będę zwiedzała na własną rękę.

Tylko... jechać na drugi koniec świata na dwa, trzy tygodnie, bo taki mogę zaplanować urlop...

Pojawiały się nowe czasopisma podróżnicze, pojawił się Internet. Dowiedziałam się o biletach lotniczych tzw. dookoła świata. Internet umożliwiał rezerwację hoteli, nie ruszając się z domu, dawał możliwości skorzystania z doświadczeń tych, którzy już tam byli.

Już wiedziałam, jak będzie wyglądała moja podróż. Jej trasa, jeszcze nie na papierze, ale w głowie, już została ułożona. Problem braku czasu mogła rozwiązać tylko emerytura.

W dniu przejścia na emeryturę wyznaczam datę rozpoczęcia podróży, ustalam szczegółową trasę. Jeszcze tylko zakup biletu, rezerwacja paru noclegów, spakowanie się i...

Tylko dwie linijki tekstu, w rzeczywistości długie godziny przed ekranem komputera, długie godziny studiowania map i przewodników. Ale czegoś się nie robi dla zrealizowania planów, które kiedyś zakiełkowały w ludzkim umyśle...

(...)

1 – 8 kwietnia, wtorek – wtorek następnego tygodnia

Galapagos! O ile Australia i Nowa Zelandia od dawna zajmowały miejsce w moich podróżniczych planach, o tyle wyspy Galapagos były czymś nierealnym, czymś, co gdzieś tam jest, ale... jak tam dojechać?!



Po przestudiowaniu licznych ofert wybrałam rejs ośmiodniowy na niewielkiej łódce. Oprócz mnie troje Brytyjczyków, dwóch Niemców, dwoje Szwajcarów, Duńczyk i Kanadyjka. Tylko Niemcy i dwoje z Brytyjczyków podróżują „w parach”, pozostali to podróżnicy indywidualni, a zbieżność narodowości jest przypadkowa. Dla większości z nas ten rejs to tylko część podróży. Ot, chociażby brytyjska para, dziewczyna i chłopak, są właśnie w półrocznej podróży po Ameryce Południowej.

Kajuty mikroskopijnej wielkości, łazienki przynależące do kajut jeszcze mniejsze. Urządzenie klimatyzacyjne w kajucie pracuje bardziej niż głośno, aż się dziwię, że w ogóle śpię. Ale z drugiej strony bez klimatyzacji nie dałoby się nawet zdrzemnąć. Przecież jesteśmy na równiku, słupek rtęci wysoko. Zapewnione trzy posiłki dziennie są bardzo smaczne i urozmaicone, widać, że kucharz się stara. Oprócz tego zawsze gdy wracamy ze zwiedzania, czeka na nas jakaś przekąska – ciastko, owoce, popcorn, mikropizza.

Organizacja zwiedzania wysp wygląda tak, że każdego dnia mamy dwa zejścia na ląd, jedno przed południem, drugie po. Niektóre zejścia są „suche”, wtedy gdy przy brzegu jest jakiś zaimprovizowany pomost, inne „mokre”, gdy musimy zeskoczyć wprost do wody. Każda wycieczka trwa nie dłużej niż dwie, trzy godziny – to wymóg związany z ochroną przyrody. Idziemy tylko z przewodnikiem, tylko po wytyczonych ścieżkach. Tylko dwa razy uzyskujemy pozwolenie na krótki spacer na własną rękę – gdy i tak nie bardzo jest się gdzie oddalić.

Oprócz tego ci, którzy nurkują, są zabierani na podglądanie podwodnego królestwa. Umiejętności pływackie moje i Duńczyka nie są wystarczające, niestety, żeby podziwiać podwodny świat. Ale raz przewodnik zostawił nas samych na plaży i jakież było moje



zdziwienie, kiedy taplając się w wodzie, tuż przy brzegu, zauważyłam koło mnie dwie uchutki przejawiające wyraźną chęć do zabawy!

Nie da się opisać wszystkich „ochów” i „achów” wydawanych przez nas na widok licznych legwanów, żółwi, uchatek, albatrosów, flamingów, czapli, fregat, głuptaków błękitnonogich, pelikanów brunatnych, mew o jaskółczych ogonach, zięb Darwina i innych nienazwanych przedstawicieli galapagoskiej fauny, niezwracających najmniejszej uwagi na płaczących się między nimi osobnikami na dwóch nogach. A wszystko to w księżycowej scenerii powstałej z zastygłej lawy, słabo lub w ogóle nieporośniętej roślinnością. Najpopularniejszą przedstawicielką flory są chyba opuncje, których kwiaty to podstawowe menu legwanów.